



Teraz My!

24
2/2006

Pismo promujące twórczość uczniów
XXI Liceum Ogólnokształcącego
im. Hugona Kottłątaja

Z cyklu: Legendy warszawsko-ochockie

Michał Omyliński

Dużo czasu upłynęło od powstania świata. I prawie od równie długiego czasu na świecie tym nie było spokoju, miłości i dobroci. Panują tu obtuda, kłamstwo i zachłanność. Gdzieniedzie zaświta co prawda niekiedy promyk nadziei, ale...

Zacznijmy jednak od początku. Cofnijmy się w czasy odległe, prawie zapomniane.

W czasy, w których inteligencja była zjawiskiem równie częstym jak dziś ciemnota. Cofnijmy się w czasy, w których bogowie decydowali o losach ludzi a ludzie o losach bogów. Cofnijmy się do antyku.

W starożytnej, lub jak lubili żartować mieszkańcy, w starożytnej Polsce, bogowie mieszkający na najwyższej z najwyższych tutejszych gór, czyli na Górze Szczęśliwickiej, często spierali się o najmniejsze błahostki. Kiedyś na przykład niemalże cała okolica zamieniła się w stertę gruzów, kiedy Bóg bogów Ochot urządził sobie pościg za Wolem, gdy ów pokusił się o odebranie mu władzy. Na szczęście bogini Bema w porę uspokoiła Ochota i kazała Wolowi oddać skradzioną własność. Ten stanowczo odmówił. Wówczas wszyscy bogowie zadecydowali, że spór rozstrzygnie jeden z losowo wybranych ziemian lub, jak zwykli na nich mówić wszechmocni, ankieterów. Ankieter bez wahania przyznał słuszność Ochotowi. Przyszło mu to z tym większą łatwością, że nie został poinformowany, o czym ma rozstrzygać. A dawna mądrość ludowa ziemian w tych okolicach głosiła, że silniejszy zawsze powinien mieć rację. I już. Wol musiał oddać władzę. Jednak ze złości skazał ankietera na doczesne katusze w Tartaku. Siedzi tam biedak do dziś i roztrząsa problem życiowej użyteczności przysłów ludowych...

O takie to drobnostki zwykli się spierać bogowie. Lecz gniew ich nie bywał błahostką i zdarzało się, że ciążył na losie nieszczęsnych ziemian przez wieki...

W tym numerze

Teraz My!
Numer dwudziesty czwarty, rok piąty
Opieka dydaktyczna i pedagogiczna:
Grażyna Różewicz
Opieka edytorska:
Aleksandra Wróblewska
Adres internetowy:
<http://www.211o.waw.pl/pl/teraz-my.html>

Michał Omyliński	<i>Z cyklu: Legendy warszawsko-ochockie</i>	1
Wawrzyniec Ciszewski	<i>Błysk</i>	3
Paweł Piłat	<i>Czy świat jest normalny?</i>	5
Anna Nadarzyńska	<i>Wiersze</i>	9

Tak też było pewnego dnia, którego wydarzenia do dziś wptywają na losy całych pokoleń. Wybuchł wówczas konflikt bardziej zażarty od tych, które poprzednio zakłócały spokój bogobojnym ludziom żyjącym na ziemi. Zwada owa była wynikiem niedopatrzenia boga pewnego. Ludzie zwykli go wołać Śródmieś.

Jak powstało to i reszta imion bogów, jest dla historyków zagadką. Domyślają się oni tylko, że miały one później wpływ na nazewnictwo dzielnic Warszawy. Tak na przykład Ursynów wziął swą nazwę od Ursyny, drugiej strony konfliktu. Była ona żoną Śródmiesia. Jako bogini pomagała śmiertelnym zwalczać bóle głowy, nudności oraz wstręt do niektórych napitków. Gdy wróciła pewnego dnia, wyczerpana uleczeniem, licznej — jak zwykle w poniedziałki — rzeszy cierpiących, położyła się wygodnie w swoim łożu i próbowała zasnąć.

Jednak niczym królowie na ziarnku grochu coś zakłócało jej ów upragniony wypoczynek. Odgarnąwszy pierzynę, ujrzała w boskiej pościeli but Bemy. Jak doszła do wniosku Ursyna, zapomniała go ona nałożyć po wizycie u Śródmiesia. Zaczęło ją nurtować pytanie, czemu Bema weszła do łożka w butach? A potem pojawiło się następne — po co w ogóle wchodziła do łożka? Po tym pytaniu wytoniło się kolejne — kiedy jej ten but spadł? I jeszcze jedno — dlaczego wyszła z łożka bez niego?

Po godzinach namysłu i rozważań Ursyna drogą eliminacji uznała za sensowne tylko jedno rozwiązanie... Wpadła wówczas w szat i szukając swego męża po wszystkich zakamarkach, jaskiniach i chaszczach Warszawy stratowała wielu niewinnych ludzi. Jednak prawdziwa rzeź rozpoczęła się dopiero po odnalezieniu Śródmiesia u boku obutej w jeden tylko sandał Bemy. Na widok rozjuszonej małżonki odskoczył on od wybranki jak oparzony i aby zatrzeć ślady i skotować nieszczęsną Ursynę, poprosił Ochota, o rozpętanie wielkiej burzy.

Ów nie zaprzeczył swemu imieniu. Ochotnie pospieszył z pomocą. Zwłaszcza, że sam nieraz uciekał się do tego sposobu skracania kłótni z małżonką. Gromy uderzały wszędzie. Towarzyszył im straszny huragan. Wisła wystąpiła z brzegów a Aleje Jerozolimskie pękły z hukiem, ukazując swe wnętrza zionące lawą. Niewątpliwie cały świat ucierpiałby na skutek małżeńskiej sprzeczki na szczycie, gdyby nie interwencja Wola. Czym prędzej sprowadził on jednego z ankieterów zapewniając Ursynę o jego bezstronności. Po raz kolejny w dziejach konflikt rozstrzygnąć miał człowiek, który niewiele wiedział o tym, co się dzieje. W podjęciu decyzji pomogła mu poprzednio wspomniana mądrość ludowa (rację należy zawsze przyznawać silniejszemu) oraz męska solidarność. Prosty człeczyzna, jak wszyscy ziemianie jego płci, nie miał wątpliwości, że stroną odpowiedzialną za zdradę Śródmiesia była sama Ursyna. Wszak, gdyby była dobrą żoną, ów nie szukałby niczego u innych bogiń! Małżonka Śródmiesia powinna więc go przeprosić i obiecać poprawę.

Gdy ankieter ogłosił wyrok, wszyscy przyjęli go entuzjastycznie. Nawet sama Ursyna wydawała się zadowolona. Jednak następnego dnia podeszła ona nagle do owego człowieka (któremu na imię było Poli) i rzuciła dwie klątwy. A jedna straszniejsza była od drugiej. Pierwsza głosiła, iż teraz ludzie sami będą musieli sobie radzić z dolegliwościami dnia poprzedniego. Druga — iż w mury Warszawy wstąpią barbarzyńcy, którzy wprowadzą zamęt i niepokój w szeregach śmiertelnych. A zjawią się oni...Lecz ogarnięty grozą nieszczęśnik nie dosłyszał ostatnich słów, gdyż zerwał się porywisty wiatr, który porwał biedaka do domu. Do przerażonych gniewem bogini uszu dotarła tylko część słowa, które zabrzmiało jak „wieś”...

Obie klątwy spełniły się. Pierwszą plagę nazwano Klątwą Anihilacji Czło-

wieka. W skrócie — KAC. Nęka ona jednak tylko tych, którzy zapomną o umiarze i rozsądku.

Drugą plagę, aby na wieczność ukarać hańbą winnego obu tych tragedii ludności Warszawy i okolic, nazwano od jego imienia politykami. Ci najeżdźcy grasują do dziś i nękają wszystkich. Bez wyjątku. A jak przepowiedziała Ursyna — w Warszawie ich główny ośrodek znajduje się na Wiejskiej.

Błysk

Wawrzyniec Ciszewski

— Powiedz jakieś słowo, które nie istnieje — prosiła dziewczynka.

— Miciurujku — odburknął półgębkiem.

— Coś innego, proszę.

— Wysukrzyda Tuftsun! — ryknął ogorzaty mężczyzna. W zatrwożeniu z tych słów wynikającym grono człekokształtnych mar w filcowych kapeluszach, z notesami, z fleszem i w szarościach prochowcowych, brać czupurna, zespolona, przestąpiła z nogi na nogę. Nad głowami pocieniała warstwa chmur. Świeciło słońce. Świecąc przeświecało przez warstewkę cieniejącą blado-żółtym, szminiki pełnym pocatunkiem.

Z niskich chat, z podtych chatupisk kilka zatrwożonych spojrzeń wpiło się w ten zamęt, raczej — wypadło by rzec — zamęć, w to raptowne zaognienie, jakby niepoważne (niepowagą ścinającą w żyłach krew).

Słowa zatem płodne, objuczone zwałem strachopylnych pojęć, okrążyły, obskoczyły, obszczały i obiegiły najedzonych przed kwadransem gapiów (pieczone kietbaski, musztarda, bułeczka), wyławiając z nudnej i rozwałkonionej ich ciepłoty pusty śmiech, zażenowanie oraz pot jak kompot zimny. — Co się dzieje? — Miano, które zgroszą przejmowało mimo woli, mimo tej właściwie wólki, najgorętszej i rozzuchwalonej w swoim drelichowym, niecierpliwym flaku; miano wykrzyczane gromkim, schryptym głosem: Wysukrzyda Tuftsun! — otwierało pojedynek.

Na ubitym w gołostopiu placu, na zmierzwionym czarnoziemiu dwaj mężczyźni brali się za łby po koguciemu. Spór był to leciwy na kształt starowinki — bezradności sędziwej i bezzębnej, chociaż do gryzienia nadal skłonnej, nadal chętnej, nawet żarliwej; jakby to prztykały się swym trybem z dawna ustalonym duch i ciałem. Trzeszczały ścięgna. W lubym zapatrzeniu, w płynnym kołowrocie wytupionych złością oczu, w sforze wściekłych, kokieterią najeżonych spojrzeń, podskakując w kucki z grzebieniami jadem nastroszonych idej dwaj mężczyźni ugniatali się wzajemnie, próbowali poprzewracać mocnym pchnięciem dłoń o dłoń. Trzeszczały ścięgna. Rozcapierzone palce, do grobowej deski elastyczne, drżały z żądzły morderczego ruchu. Błyskały myśli, błyskały uczucia, okręcone w lotnych pstrokaciznach, w kobiecości zwiewno-tajemniczej, uwożdżającej, piesszczotliwej, w rozmamłaniu infantylnych rączek; kurz, pot, ścięgna, kostki, dwaj mężczyźni poranieni odciskami brudu, obłożeni szramą ciemniejącą spośród łachmanów, spomiędzy strzępów jakichś dziadowskich, odstosowane wszystko i rozdarte, parujące od gorąca rozjątrzonych organizmów, nagie. Nagle szybki doskok, elektryzujące spięcie i gderliwość antykoguciego światła odwrócona na sekundę w gniew i poruszenie. I znów wyszukiwanie nowej sposobności. Znów gonitwa za błyskaniem i czajenie się w podskokach, aby pchnięciem sptoszyć draba, ugnieść go, nabić mu guza, stłamsić, czy rozkwasić w celu uchwylenia spójni. Pojedynek między dwoma kogutami i każdego z nich

zacięcie przeciw gapiom nędznym i strachliwym, którym miło byłoby potamać gnaty. Chrzęst, zupa i szarość.

— Wysukrdyda Tuftsun! — ryczeli obaj.

Drzwi pozamykano z metalicznym trzaskiem, zamazane fizjonomie wparty się w siedzenia i odwiódłszy precz ręczne hamulce powrzucono sprzęgła, dociśnięto gaz i, pyrkocząc, rozjechano się po świecie. W jakim celu? W celu opisanego spójni, ucięcia, ułożenia wymuskanych za i przeciw, argumentów migotliwych, szeleszczących, sedna sięgających — czy powabnych? — Jakże! Niestrudzenie odświeżane, horrendalne ichnie salwy miatyż nie być miodem samym i bajecznym fikołasem!

Kiedy po mobilnych typach i kogucim zamieszaniu ślad pozostał nikły, blednąc wzmógł się pod strzechami domostw strach, okrutnie głupi rzeźmieszek. Zasię pozostali owi cisi. Mruki z fąszem za pan brat będący, co tonęli w milkiwości biernej a burkliwej, mało skromni, roztrzępani i niesfori, mało myślą się krzepiący. Wesota hatastra z palcem na buzi, sympatycznej zresztą i złotymi opatrzonej kędziorkami. Dobroduszne mętniactwo. Garniemy się do niego wszyscy. Owe mętniaki i cipuchny rozkołtysani w wirach ciągle upływającego czasu, bujający na krawędzi przeszło-przyszłych mar, realnych zwidzeń, robili to co umieli najlepiej: bali się, bali się, bali się straszliwie.

— Wysukrdyda Tuftsun! — to niedawno wykrzywane miano wwiercało im się gdzieś pod brzuchy niczym świder gruby, ciesielski, zatruty przerażeniem, trwogą matpią, nieuzasadnioną, ale dobrze kojarzoną, świetnie pamiętaną, jakby wszystko to ich już dotknęło, jakby w dawnych czasach błysk nawiedził tu ich przodków. Stare dzieje. Teraz gramolili się z swych zasypanych do potowy ziemią bezokiennych chat na plac wioski, w ćmie nocy totipotencjalnej, bez latarek, przelęknięci i człapiący w krąg gromady, w zwartą, dygoczącą masę, niby ślepcy. — Wszystko tu niejasne — podnosili, zadziwieni, głosy, ciemni, zająknięci, zbaranieli. Przy bojaźni ich zupełnie rozregulowanej stary obrzęd, rzekomy atut, rozlatywał się w drobiny, które wyziewano w ciągu wieków już przed laty, w czasach sjesty. Żyto im się jeszcze obrzędowo, ale trwoga z niepokojem ich capnęła za kołnierze. Owa zółta, sekutnica, wstrętna klucha. Cóż więc było robić? Czekać, aż noc przyjdzie. Cóż więc było gadać, kiedy się zjawia? Że niejasno. Czego było się obawiać? Błysku.

Wreszcie postyszeli tętent kopyt. W czarcim mroku tylko gałki rozszerzonych oczu odbarwiały się wyraźnie. Kupa figur zatem, przygaszona w pieskiej frywolności, promieniście się rozbiegła do swych domostw, pierzchła; i jedynie odważniejsi przysunęli ślip do szparek w ścianach, żeby doznać tego, o czym posiwiacie baby plotły wieczorami, gdy nadeszła zima. Wreszcie przygalopowało cudo, a tak szybko, jakby to część mała chwili tylko upłynęła; przypędziło więc z północy i ludziskom dech zaparło, włos się zjeżył im od błysku, co raptownie i bez przeszkód wtargnął do ich ciał, do dusz, formując na trzy chwile w nich pokorne przyklęknięcie, głód modlitwy, gest nieśmiały, w stronę nieba obrócony. Jeszcze zamroczenie wszystkich zmysłów i szarpnięcie całym powietrzem — i umilkło, i ściemniło się na powrót, ale niezupełnie: padał śnieg.

Błysk tylko przez wieś przemknął, w ludziach popłoch zasiał, spiął konika i zatrzymał się pod uschtą lipą. Otart z czoła pot. Piękny ten rycerskiego fachu reprezentant, strudzony poważnie, w zbroicy świetlistej przyniebieszczonej, przybyły skądś z daleka na rumaku śmigającym, czuł jak mu kac we łbie szarpie i tarnosi włoski jakieś unerwione. Gdyby go ktoś widział, smutny by zobaczył widok, jak ogląda się za siebie, gdzie z bukietu konieczności pleniła się zima. On był zwiastunów śniegu następcą, on inaugurował święto odpo-

czynku, snu tłustego, on przepędzał marudników jesiennych. Tak wyobrażał to sobie. Stał na granicy pór roku i czuł, jak go śniegiem nie pokryta ziemia wola ku sobie, odsapnąwszy, ruszył więc z kopyta naprzód, a białość wielka poszła w ślad za nim.

Często tak bywa, że ilość szczupła rozwiązań życie paskudzi i (mimo że piękne) obrzydliwe się ono staje w swojej prostocie jednotorowej, w swoim przewidzieć dającym się toku. Wtedy zapala się lampka, szczęśliwie rozśpiewują się telefony, cały urząd, cała organizacja mozoli się, spręży, by począć traf, aby zrodziło się dziecię przypadku.

I tak, w potknięciu gwiazd się imającym, koń zrzucił swego pana, sam pognął natomiast przed siebie. Pański gest! Nieborak, garść błysku, szczypta rycerstwa, wytłaniał się tymczasem z kopnego śniegu, kiedy bez uprzedzenia cichość zasypanych krain odmieniła mu twarz chuchem zalotnym. Niebawem dotarł do przysiółka z uciechą na ramieniu. Noc trwała nadal. Czapa śnieżna, jaka obrosła dach jednego z domów, niósła przed jego oczy czarne zamię, zwyczajną dziurę, jak sobie tłumaczył.

Księżyc rozsnuwał sieci, powyplatane z serenadowych wątków, motywów rozszerebrzonych, gładkich, monolitycznych a prawych, perspektywicznych, prawie się nie mieszczących na sklepieniu niebieskim, i zaglądał przez dziurę. Błysk powiódł wzrokiem za jasną strugą miesiąca, która wpadała do środka i sam zapragnął w nim się znaleźć. Wszedł na dach nie bez komplikacji i zsunął się przez otwór do wnętrza, wnet uciekł spod srebrnego snopu lejącego się na kark, żeby w końcu poniechać kroków, stanąć w kąci.

Autor jest absolwentem Kottątaja z roku 1998.

Czy świat jest normalny?

Paweł Piłat

Tylko literatura może uprzytomnić światu jego nienormalność — Hanna Krall

Hanna Krall jest współczesną, pisarką urodzoną przed wojną, . W swojej książce „Zdążyć przed panem Bogiem” opisała losy powstania w warszawskim getcie. Stwierdzenie: „Tylko literatura może uprzytomnić światu jego nienormalność” wygłosiła pod wpływem rozmów z Markiem Edelmanem, jego opowieści o cierpieniu, i o problemach tak strasznych, że wykraczających poza ludzką wyobraźnię.

Co rozumiemy pod słowem „normalność”? Wydawałoby się, że to proste. Ale tak nie jest. Trudno tu o ogólną definicję. Przeważnie normalnymi nazywamy zjawiska, które dotyczą jakiejkolwiek większości zachowań w obserwowanej grupie. Porównując dla przykładu środowiska więzienne i zakonu duchownego widać jednak, że różne zachowania mogą być uważane za normalne w różnych środowiskach. Zastosowanie znajduje aforyzm: „Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.”

Dlatego uważam, że mówiąc o normalności należy kierować się własnym sumieniem, odwołać do wrażliwości moralnej i humanitarnej. Często bywa, że naszą moralność kształtują religie, które przeważnie zawierają prawa pozytywne i negatywne — czyli nakazy i zakazy. Zwykle często sugerują one okrutną karę za złamanie zakazów. Pozostaje to niekiedy w sprzeczności z głoszonymi przez nie wartościami nadrzędnymi. W takiej sytuacji nie wystarczy bezmyślnie

podporządkować się dogmatom wiary. Hitler stworzył przecież dla III Rzeszy nowy kościół, w którym najbardziej szokujące humanitarnie zachowania lansował jako normę. Wstrząsające opowieści Marka Edelmana są właśnie wynikiem działań tych, którzy narzuconym dogmatom bezkrytycznie się podporządkowali. Stwierdzam więc, że nie można odwoływać się do powszechności i sytuacji propagowania ludzkich zachowań, by stwierdzić, że coś jest normalne. Opiniowanie normalności musi zobowiązywać do moralnej aktywności wewnętrznej i dopuszczać wątpliwości subiektywne.

Jednak są pewne podstawowe prawa, które dotyczą wszystkich kultur, religii i środowisk. Istnieją po to, by zapewnić ludziom ową trudną do zdefiniowania „normalność”, by zapobiegać chaosowi. Wydawałoby się, że najlepszym sposobem wprowadzenia ogólnie rozumianej normalności jest ustanowienie państwa przestrzeganego prawa. Dobrym przykładem na niebezpieczeństwa wynikające z tego przekonania jest „Proces” Franza Kafki.

Opisano tu walkę bliżej nieokreślonego człowieka z systemem. Nazwisko Józefa — K. ma sugerować czytelnikowi, że ta historia może przydarzyć się każdemu. Akcja toczy się w państwie prawa, które jest odwzorowaniem ówczesnej biurokratyzowanej Austrii. Bohater zostaje w swoje 30 urodziny aresztowany pod bliżej nieokreślonym zarzutem. Józef K. nie zna ani aktu oskarżenia, ani swoich sędziów. Próby wyjaśnienia sprawy pogłębiają jego winę, jednocześnie powodując coraz większe poczucie osaczenia przez niezrozumiałą machinę biurokratyczną. Po trwającym równo rok procesie Józef K. zostaje skazany na karę śmierci, ciągle nie wiedząc, za jakie przestępstwo.

Powieść ukazuje nam wszechwładzę i bezkarność urzędników państwowych. Być może, gdyby została wydana teraz, nie odniosłaby wielkiego sukcesu. Ale w roku 1925, kiedy została opublikowana po śmierci Kafki, nie było jeszcze tak licznych i powszechnie dostępnych mediów jak telewizja, radio czy Internet. Wówczas „Proces” Kafki odgrywał taką rolę jak współcześnie „sprawa Rywina” czy „afery starachowicka”. Ukazywał czytelnikowi zepsucie, arogancję i poczucie bezkarności biurokratycznej władzy. Być może bez „Procesu” Kafki nie istniałyby do dzisiaj instytucja ławnika, nie byłoby instytucji kontrolujących władzę: trybunału stanu, najwyższej izby kontroli, trybunału konstytucyjnego, czy wszelkich trybunałów — w Hadze, Strassburgu i innych. Jeśli o takich instytucjach chroniących jednostkę marzył Kafka, to można stwierdzić, że odniósł on wielki sukces. Jednak samo istnienie organów nadzorujących władzę i rozliczających ją z zobowiązań wobec wyborców, jak widać z przytoczonych przeze mnie przykładów współczesnych, nie wystarcza. Warunkiem bezpieczeństwa społecznego jest nieustanna czujność i świadomość obywatelska.

Kolejnym dziełem, którego główny przekaz brzmi: „Patrzcie władzy na ręce!”, jest „Folwark Zwierzęcy” George’a. Orwella. Z pozoru traktuje o baśniowych wydarzeniach i buncie zwierząt. Jednak to głęboka rozprawka filozoficzna. Uświadamia, że każda władza, nawet ta pochodząca w pełni z wyboru ludu może stać się wyzyskiwaczem. Zaraz po skutecznym przewrocie, po wypędzeniu pana Jonesa, rewolucjoniści wprowadzają swoje własne rządy. Przywódcami nowego porządku zostają samorzutnie świnie. Gdy knur o imieniu Napoleon widzi, że inne zwierzęta nie sprzeciwiają się jego władzy, wprowadza pełną dyktaturę. Ogranicza kolejno, wprowadzone dzięki zmianie politycznej, swobody obywatelskie. Pozbywa się dawnych zastużonych sojuszników, żeby nie dzielić się przywilejami. Jednocześnie doprowadza do obniżenia poziomu oświaty. Chce sobie wykształcić posłuszne społeczeństwo, nieświadome manipulacji. Sądzi, że ułatwi mu to utrzymanie się przy władzy. Te mechanizmy są nam znane z lekcji historii. Wszyscy wielcy dyktatorzy tępiłi biologicz-

nie lub ekonomicznie inteligencję a swą władzę starali się oprzeć na łatwo sterowalnej — według nich — masie pracującej. W ten sposób rewolucja podjęta w imię niepodważalnego prawa wszystkich do godnego życia skończyła się wprowadzeniem rządów jednostki, która zmieniła ową ideologię na swoją korzyść i doprowadziła do jeszcze większego wyzysku społecznego. Świnie wprowadzają się do domu pana Jonesa i zaczynają żyć w luksusie a rozpacz społeczna w folwarku narasta...

Przypowieść Orwella pokazuje, że władza uzależnia w dość zaskakujący sposób. To sama klasa rządząca, pragnąc coraz większej kontroli i umocnienia swojej pozycji, doprowadza wzmaganym uciskiem społecznym do własnego obalenia. Bezmyślność rządzących i powtarzalność tego schematu w dziejach wywołują wątpliwości, czy ludzie sprawujący władzę są jeszcze zdolni do racjonalnego myślenia. Nawet, jeżeli jedynym kryterium miałyby być tylko ich własna korzyść. Władza jawi się raczej jako mityczne przewrotne bóstwo, które najsroższe jest wobec własnych wyznawców i z nich samych czyni nieustannie najkrwawsze ofiary własnego terroru. Zabrakłoby tu miejsca, gdyby chciało się przywołać jako przykład losy większości historycznych tyranów i dyktatorów.

Skoro normalna władza uciska swoich obywateli, pochtania ogromne fundusze na swoje funkcjonowanie nie wykonując w zamian żadnej użytecznej powszechnie pracy, to czy jest ona dalej normalna? Czy oprócz tak groteskowych postaci jak Fidel Castro i Andrzej Lepper istnieją jakieś elity władzy, które poszły normalnie pracować w pole albo do fabryki?

Ale skoro nie ma takiego państwa, w którym władza pracowałaby wspólnie z obywatelami na rzecz ogólnego dobra, to może taka jest norma? Pozostawiam to pytanie bez odpowiedzi...

„Folwark Zwierzęcy” spełnił postawione przed nim zadanie. Po jego wydaniu w krajach, w których był czytany, nie doszło do żadnej krwawej rewolucji, nie było żadnej dyktatury, panował względny spokój. Mówię tu oczywiście tylko o krajach Europy Zachodniej i Środkowej, oraz Ameryki Północnej. Wszędzie tam utrzymała się demokracja, istnieją prawa obywatelskie, przestrzegane są podstawowe prawa socjalne pracownika itp. Oczywiście to nie wymarzona utopia. Nadal są zarówno milionerzy jak i żebracy. Jednak ten system ma to do siebie, że przynajmniej chociażby teoretycznie dąży do samodoskonalenia, dzięki formie sprawowania rządów, jaką jest przedstawicielstwo ludu.

A zatem na czym polega normalność naszego świata? Na tym, że państwa, w których funkcjonowałby sprawiedliwy system podziału dóbr, gdzie nie byłoby wyzyskiwanych i wyzyskujących, gdzie zostałyby wykonane założenia utopii, w rzeczywistości nie istnieją?

By przedstawić skrajną wersję nienormalnego, lub właśnie normalnego, systemu pragnąłbym zaprezentować książkę „Nowy Wspaniały Świat” Aldousa Huxleya. Ten autor w latach 30-tych XX wieku zaprezentował futurystyczną i fantastyczną wizję społeczeństwa, w którym wszyscy są szczęśliwi. Utopia zostaje zrealizowana dzięki „dobrowolnemu” poparciu społecznemu. System „uzyskuje akceptację” podprogowo programując dzieci podczas snu, wpajając im zasady funkcjonowania społeczeństwa oraz wyrabiając odruch warunkowy wstrętu do czytania i jakiegokolwiek rozwoju wewnętrznego. W tym świecie ludzie są kształtowani w sposób wymuszający większą konsumpcję produkowanych dóbr. Już dzieci są programowane na nienasyconych konsumentów, na tę jedną konkretną aktywność. To potrzeby konsumpcji wpływają na poziom wdrukowywanej w nie inteligencji, kreatywności czy siły fizycznej. W ten sposób powstaje nieświadome manipulacji społeczeństwo kastowe. Równocześnie pozbawia się ludzi wszelkich wrodzonych uczuć i niszczy więzi rodzinne. Jed-

nym bliskim i najważniejszym członkiem rodziny jest nowo nabyty przedmiot wyprodukowany z zastosowaniem najnowocześniejszych technologii. Stan wewnętrzny zadowolenia z tej żałosnej namiastki prawdziwie głębokiej, ludzkiej egzystencji gwarantują powszechnie dostępne — a nawet przymusowo narzucone przez państwo — narkotyki.

Tymi oto sposobami u Huxleya utrzymuje się w ryzach sprawne, idealnie funkcjonujące i „zadowolone” społeczeństwo. System działa perfekcyjnie, aż do momentu wprowadzenia do tego „nowego, wspaniałego świata” młodego chłopaka z rezerwatu dzikich. Pod tą metaforą indiańskich osiedli pojawia się tu mała zacofana wieś, w której ludzie żyją tak samo jak na początku XIX wieku. Ogólnospołeczne zainteresowanie tym reliktem przeszłości jest nikłe i nie powoduje upadku systemu.

Huxley wprowadza postać Dzikusa, żeby wykazać, kto tu jest normalny, a kto nie. Młody chłopak nie potrafi zaakceptować zastanego „idealnego świata”, w którym nie ma miejsca na wolną wolę i rozwój człowieka a płytkie, nikczemne rozrywki są narzucane przez zmanipulowane media jako jedyna „radosna” forma spędzania czasu wolnego. Ucieka z miasta i żyje samotnie w buszu. Jednak odkryty przypadkowo przez żądnych sensacji dziennikarzy popełnia samobójstwo. Dzięki takiemu zakończeniu książka zmusza czytelnika do refleksji nad współczesną cywilizacją. Czy zmierza ona do tak psychodelicznego koszmaru, jak ten zaprezentowany w książce? Czy cieszyć nas będzie taka norma? Powieść Huxleya skłania — jak chce tego Hanna Krall — do zastanowienia się, który ze światów jest lepszy? Czy ten z zarządzanym odgórnie, ujednoczonym pod wszelkimi względami, idealnym i normalnym, bo identycznym, społeczeństwem? Czy ten na pozór nienormalny — pełen różnic, indywidualności, sporów i wojen, w którym wciąż na nowo — indywidualnie i w najrozmaitszych wspólnotach — próbujemy się zmagać z humanitarnym wyzwaniem prawa do godnego życia?

Dochodzę do wniosku, że lepiej jest, gdy ludzie posiadają wolną wolę i nie są bezdusznymi, odurzonymi narkotykami, pracującymi, konsumującymi i napędzającymi konsumpcję maszynami.

Po lekturze powieści Huxleya uświadomiłem sobie złożoność ludzkiej egzystencji i przestałem światu mieć wyłączenie za złe jego niedoskonałość. Stwierdziłem, że dobrze jest, jak jest, a wszelkie próby ujednoczenia go, unormowania tego, co nienormalne, są bezsensowne. Zawsze przecież pozostawia mi on — jak i każdemu innemu człowiekowi — wolność i zdolność korygowania jego niedostatków. To dzięki życiu w takim świecie czuję, że zróżnicowanie i wolna wola ludzka są potrzebne. Bez tych różnic byłibyśmy tylko nic nie znaczącymi, identycznymi trybikami w bezdusznym mechanizmie, na który nie mielibyśmy żadnego wpływu.

Dochodzimy więc oto do paradoksalnego wniosku, że czasami nienormalność jest prawidłowa. A nawet, że czasami niektóre normy bywają niestuszne. Uważam, że między normalnością a jej przeciwieństwem jest delikatna linia, a umiejętności perfekcyjnego rozróżniania tych dwóch pojęć nie przypisuję człowiekowi...

Nienormalność świata wpływa bardzo na jego atrakcyjność. Dlatego czasami należy pozostawić w spokoju dziwactwo, by dalej było sobie nienormalne. Istnieją też zjawiska anormalne tak bardzo, że aż chore i natychmiast wymagają zmiany. Cała mądrość sprowadza się do umiejętności rozróżniania tych dwóch nienormalności...

A zresztą, jeśli coś jest normalne, to jest to standardowe. A standardy są dla ludzi przeciętnych...

Autor jest absolwentem Kottątaja z roku 2004. Obecnie studiuje informatykę na UKSW.

Wiersze

Anna Nadarzyńska

Druga strona obola

Ustyszałam, od przechodnia,
Ze poległeś — wierny prawom
Ustyszałam, od przechodnia,
Że swój ród okryłeś stawą.

Ustyszałam, że zdradzony
U Wrót Ciepłych pozostałeś,
Wypełniając plan obrony
Innym Grekom czas dawateś.

Ustyszałam o twej chwale,
Mężnym sercu i ramieniu.
Nie zaprzeczam temu wcale,
Choć zachowam coś w milczeniu:

Biel pościeli jak biel śniegu,
Krwawą czerwień na niej ściegu,
Kyliks czarny pełnią wzruszeń,
Szept przysięgi ust twych: „Wróćę!”.

Kobieta, która wychodzi

figi, biustonosz (gdzieś tam chusteczki)
rajstopki, podwiązki i tasiemeczki
podkład, korektor, puder i róż
szminka, błyszczki, cień oraz tusz

naszyjnik, szalik może apaszka?
kolczyki to już zwykła igraszka
krótkie czy długie, srebrne czy złote?
jednak na klipsy ma ochotę

gdy ubrania się prują a włosy burzą
on spokojnie czeka z czerwoną różą